

Elizabeth Wein

Kryptonim  
*Verity*

HISTORIA O WIELKIEJ ODWADZE  
I PRZYJAŹNI.

FILIA



Elizabeth Wein

Kryptonim  
*Verity*

Przełożyła  
Anna Bańkowska

FILIA



# Amandzie

Stworzyliśmy  
fantastyczny  
zespół



„Uczestnicy biernego oporu  
muszą zrozumieć, że są tak  
samo ważni jak sabotażyści”.

*SOE – Secret Operations Manual,  
Methods of Passive Resistance*  
(Podręcznik tajnych operacji,  
Metody biernego oporu)





Część I

# Verity



## Ormaie, 8 listopada 1943 JB-S

Jestem tchórzem.

Chciałam zostać bohaterką i chętnie ją odstawiałam. Udawanie zawsze mi dobrze wychodziło. Pierwszych dwanaście lat życia spędziłam na zabawach w bitwę pod Stirling Bridge\* z pięcioma starszymi braćmi, którzy godzili się, abym ja, dziewczyna, grała rolę samego Williama Wallace'a (podobno jednego z naszych przodków), ponieważ wygłaszałam najbardziej płomienne mowy. Bóg mi świadkiem, że w ubiegłym tygodniu też bardzo się starałam. Naprawdę się starałam, ale teraz, po tej śmiesznej umowie z *SS-Hauptsturmführerem* von Lindenem zrozumiałam, że stchórzyłam, i zamierzam wyjawić wam wszystko, o co poprosicie, wszystko, co tylko pamiętam. Każdy najmniejszy szczegół.

A oto, jaką zawarliśmy umowę. Zapisuję ją tu dla własnej pamięci, aby niczego nie pomylić.

– Zastanówmy się – powiedział *Hauptsturmführer*. – Czym można panią przekupić?

Na co wypaliłam, że chcę odzyskać ubranie.

---

\* Jedną z ważnych bitew w wojnie o niepodległość Szkocji. 11 września 1297 roku pod Stirling Bridge wojska szkockie pod wodzą Andrew de Moraya i Williama Wallace'a zwyciężyły Anglików [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki i redakcji].

Teraz wydaje się to nieistotne. Na pewno spodziewał się jakiejś prowokacji w rodzaju: „Oddajcie mi wolność” czy „Pragnę zwycięstwa” albo wielkodusznego życzenia w rodzaju: „Przestańcie już dręczyć tego nieszczęsnego chłopca z ruchu oporu i podarujcie mu godną, humanitarną śmierć”. Albo chociaż czegoś bardziej bezpośrednio związanego z moją obecną sytuacją, jak: „Pozwólcie mi zasnąć”, „Dajcie mi jeść” czy „Zabierzcie mi z pleców to pieprzone żelastwo, do którego jestem przywiązana od trzech dni”. Ale byłam gotowa wytrzymać jeszcze kawał czasu na stojąco, bez snu i jedzenia, gdybym tylko nie musiała pozostawać w samej bieliźnie – dość już cuchnącej i czasem mokrej. To takie krępujące! Ciepło i godność, jakie zapewniają mi spódnica z wełnianej flaneli i sweter, znaczą dla mnie teraz dużo więcej niż patriotyzm i wierność przekonaniom.

Tak więc von Linden sprzedał mi sztuka po sztuce całą garderobę. Z wyjątkiem, oczywiście, szalika i pończoch, gdyż te odebrano mi wcześniej, żebym się nimi nie udusiła (a próbowałam). Pulower kosztował mnie cztery zestawy szyfrów radiowych – komplet wykorzystanych wierszy, haseł i częstotliwości. Von Linden oddał mi go zresztą na kredyt. Sweter czekał na mnie w celi, kiedy wreszcie po tych koszmarnych trzech dniach zostałam rozwiązana. I chociaż z początku nie dawałam rady cholerstwa na siebie wciągnąć, samo narzucone na ramiona przyniosło mi ulgę. Teraz nareszcie udało mi się go włożyć i raczej już w nim zostanę. Spódnica i bluzka kosztują mniej niż pulower, a buty tylko jeden zestaw szyfrów za sztukę.

W sumie jest ich jedenaście. Za ostatni miałam wykupić halkę. Zauważcie, jak on to sobie wymyślił: odzyskiwałam te rzeczy w odwrotnej kolejności po to, aby raz

jeszcze przechodzić przez mękę zdejmowania ich na oczach wszystkich, kiedy oddawano mi następną sztukę garderoby. I tylko jeden von Linden mi się nie przyglądał. Ale zagroził, że znowu wszystko zabierze, kiedy wspomniałam, jaki bajeczny pokaz traci. To wtedy po raz pierwszy wyszły na światło dzienne wszystkie obrażenia i nawet żałowałam, że nie patrzył na swoje dzieło, zwłaszcza na moje ramiona. Wtedy też po raz pierwszy zdołałam ustać przez jakiś czas, czym chciałam się przed nim popisać. Tak czy siak, postanowiłam obyć się bez halki, co oszczędziło mi fatygi ponownego rozbierania się, żeby móc ją włożyć. Za ostatni zestaw szyfrów kupiłam sobie zapas atramentu i papieru, a także trochę czasu.

Von Linden dał mi dwa tygodnie i obiecał tyle papieru, ile potrzeba. Muszę tylko wypluć wszystko, co pamiętam, na temat tak zwanego brytyjskiego wysiłku wojennego. I zamierzam się z tego wywiązać. Przy całej swej brutalności von Linden dżentelmeńskimi zasadami przypomina trochę kapitana Haka, ja zaś, naiwnie ufając, że będzie grał czysto i dotrzymywał słowa, jestem zupełnie jak Piotruś Pan. Jak dotąd się nie zawiodłam. Na początek podarował mi tę śliczną kremową wytłaczaną papeterię z hotelu Château de Bordeaux, który kiedyś mieścił się w tym budynku. (Nigdy bym nie uwierzyła, że francuski hotel może być aż tak koszmarnie ponury, gdybym na własne oczy nie zobaczyła tych sztab na okiennicach i kłódek na drzwiach. Ale dzięki wam całe to śliczne miasto Ormaie nabrało ponurego wyglądu).

Jeden zestaw szyfrów to i tak dość sporo, ale poza tym zdradzieckim raportem przyrzekłam von Lindenowi także moją duszę, chociaż nie sędzę, żeby wziął moje słowa na serio. Tak czy inaczej, z wielką ulgą napiszę cokolwiek, co nie wiąże się z szyfrem. Ja już po prostu rzygam radiowym

kodek. Dopiero kiedy przelaliśmy te wszystkie listy na papier, uświadomiłam sobie, jak wielki zapas szyfrów w sobie noszę.

Swoją drogą, to zadziwiająco, naprawdę.

Wy głupie hitlerowskie gnoje!

Jestem potępiona. Całkowicie, bezapelacyjnie potępiona. Bez względu na to, co zrobię, w końcu i tak mnie zastrzelicie, bo tak się postępuje z agentami wroga. My też tak robimy. Jeśli po spisaniu tego raportu mnie nie zastrzelicie i jakimś cudem wrócę do kraju, i tak zostanę osądzona i skazana na śmierć za kolaborację. Ale kiedy patrzę na te wszystkie mroczne i pokrętnie drogi, które mam przed sobą, ta jedna wydaje się prosta i oczywista. Co mnie czeka w przyszłości? Puszka nafty w gardło i zapalka przytknięta do ust? Skalpel i kwas, jak dla tego chłopca z ruchu oporu, który nie chciał mówić? A może jako żywy szkielet zostanę załadowana do bydłowego wagonu, razem z dwiema setkami innych nieszczęśników, i wysłana Bóg wie gdzie na śmierć z pragnienia przed dotarciem na miejsce? Nie. Ja się na to nie piszę. Ta droga wydaje się najłatwiejsza, a inne zbyt mnie przerażają, by nawet im się przyglądać.

Piszę po angielsku. Brak mi zasobu słów na wojenny raport po francusku, a mój niemiecki nie jest dostatecznie płynny. Ktoś będzie musiał przetłumaczyć to wszystko *Hauptsturmführerowi* von Lindenowi. Może *Fräulein* Engel, ona całkiem nieźle mówi po angielsku. Właśnie mi wytłumaczyła, że parafina i nafta to jedno i to samo. W kraju używamy słowa *paraffin*, natomiast Amerykanie używają słowa *kerosene*, czyli nafta. Po francusku i niemiecku to słowo też brzmi podobnie.

(Co do tej nafty czy parafiny, mniejsza o nazwę. Nie chce mi się wierzyć, że wypapralibyście mnie całym litrem owej

cennej cieczy. A może kupujecie ją na czarnym rynku? Jak chcecie to ująć w kosztach? „Litr silnie wybuchowego paliwa na egzekucję brytyjskiego szpiega”. Zresztą i tak zrobię, co w mojej mocy, żeby oszczędzić wam tego wydatku).

Jedną z pierwszych pozycji na tasiecowej liście tego, co kazaliście mi ująć w sprawozdaniu, jest lokalizacja brytyjskich lotnisk, z których nastąpi inwazja na Europę. *Fräulein Engel* świadkiem, że kiedy to przeczytałam, parsknęłam śmiechem. Wy naprawdę myślicie, że znam choć jeden cholerny szczegół na temat miejsca, z którego alianci zamierzają ruszyć na okupowaną Europę? Przyjęto mnie do Kierownictwa Operacji Specjalnych, bo mówię po francusku i niemiecku, a poza tym umiem dobrze zmyślać, natomiast do kwatery gestapo w Ormaie trafiłam z powodu kompletnego braku wyczucia kierunku. Ludzie, którzy mnie szkolili, specjalnie utwierdzali mnie w błogiej niewiedzy na temat lotnisk, a to dlatego, żebym w razie wpadki nie mogła wam niczego zdradzić. I nie podano mi nazwy nawet tego lotniska, z którego wystartowałyśmy w nasz ostatni lot. Pozwólcie sobie przypomnieć, że przebywałam na terenie Francji mniej niż czterdzieści osiem godzin, kiedy wasz usłużny agent uchronił mnie od rozjechania przez furgonetkę wyładowaną francuskimi kurczakami, ponieważ przechodząc przez jezdnię, spojrziałam w złą stronę. Co tylko dowodzi przebiegłości gestapo.

„Osoba, którą właśnie uratowałam od śmierci pod kołami, wyraźnie przywykła do lewostronnego ruchu. Na pewno jest Brytyjką, zrzuconą z alianckiego samolotu na spadochronie. Aresztuję ją teraz jako szpiega”.

Tak więc brak mi orientacji przestrzennej. U niektórych z nas to tragiczna sprawa, dlatego nie ma sensu, żebym akurat ja wskazywała wam lokalizacje jakichkolwiek lotnisk.

Chyba że ktoś podałby mi współrzędne. Być może mogłabym je wymyślić, i to nawet dość przekonująco, dzięki czemu kupiłabym sobie trochę czasu, ale i tak szybko byście się połapali.

Kolejna pozycja to typy samolotów używanych w operacjach wojskowych. Boże, co za śmieszna lista! Gdybym się na tym znała albo gdyby mnie to w ogóle obchodziło, sama pilotowałabym samoloty w Służbie Pomocniczej Transportu Powietrznego jak Maddie, która mnie tu zrzuciła. Ewentualnie pracowałabym jako monter czy mechanik i nie musiałabym teraz mozolnie wypluwać faktów i liczb na rzecz gestapo. (Nie wspomnę tu znowu o moim tchórzostwie, gdyż zaczynam się z tym czuć nieuczciwie. Poza tym nie chcę was zanudzić, bo zabralibyście mi ten wytworny papier i znów zaczęli podtapiać mnie w misce z lodowatą wodą aż do utraty przytomności).

Ale zaraz, mogę jednak wymienić kilka typów samolotów, począwszy choćby od puss motha. To pierwszy samolot pilotowany przez moją przyjaciółkę Maddie i właściwie pierwszy, którym nie tylko latałam, ale który także zobaczyłam z bliska. A historia o tym, jak się tu znalazłam, zaczyna się właśnie od Maddie. Nie sądzę, abym kiedyś się dowiedziała, dlaczego podczas aresztowania miałam przy sobie jej, a nie swój dowód osobisty i jej licencję pilota, ale jeśli opowiem wam o Maddie, zrozumiecie, dlaczego przyleciałyśmy tu razem.

## TYPY SAMOLOTÓW

Maddie to właściwie Margaret Brodatt. Trzymacie jej dowód osobisty. Nazwisko „Brodatt” nie pochodzi z północnej



Anglii, raczej z Rosji, tak jak dziadek Maddie. Ale ona sama jest rdzenną obywatelką Stockport. I w przeciwieństwie do mnie ma świetną orientację przestrzenną. Potrafi nawigować według gwiazd i na podstawie ścisłych obliczeń, ale moim zdaniem zawdzięcza ową zdolność dziadkowi, który na szesnaste urodziny podarował jej motor. Od tej pory zaczęła wyprawiać się ze Stockport na nieutwardzone szlaki wysokich wrzosowisk Gór Pennińskich. Jak łatwo zauważyć, miasto Stockport ze wszystkich stron otoczone jest zielonymi, nagimi Penninami, nad którymi szybko suną podświetlone słońcem pasma chmur, co wygląda jak film w technicolorze. Wiem o tym, ponieważ wybrałam się tam w zimie na wolny weekend. Zatrzymałam się u dziadków Maddie i pojechałyśmy we dwie motorem na Dark Peak; ten dzień wspominam jako jeden z najwspanialszych w moim życiu, chociaż słońce wyszło tylko na pięć minut i nawet wtedy nie przestawał padać deszcz ze śniegiem – to właśnie z powodu takiej „nielotnej” prognozy Maddie dostała trzy dni wolnego. Ale przez te pięć minut Cheshire wydawało się takie zielone i skrzące! Dziadek Maddie prowadzi sklep z motocyklami i specjalnie na moją wizytę kupił jej na czarnym rynku trochę benzyny. Piszę o tej wyprawie (choć nie ma to nic wspólnego z typami samolotów), aby wam dowiedzieć, że rozumiem, co Maddie czuła na szczycie, kiedy w ogłuszającym ryku czterech wiatrów i dwóch cylindrów patrzyła na zielone pola równiny Cheshire i czerwone kominy, rozrzucone u jej stóp niczym kraciasty koc piknikowy.

Maddie przyjaźniła się z Beryl, która rzuciła szkołę i w lecie 1938 roku pracowała w przędzalni bawełny w Ladderall. Lubily w niedziele jeździć motorem Maddie na pikniki, bo tylko wtedy mogły się widywać. Beryl obejmowała ją ciasno

w pasie, tak jak ja, i także nie miała gogli, nosiła je tylko Maddie. Pewnej czerwcowej niedzieli wybrały się aż na drugą stronę grzbietu Highdown Rise. Po przejeździe wąskimi gruntowymi drózkami, obwarowanymi po obu stronach kamiennymi murkami (zbudowali je zapewne przodkowie Beryl), ich gołe łydki były całe w błocie. Beryl zmarnowała sobie wtedy najlepszą spódnicę i ojciec kazał jej zapłacić za nową z następnej tygodniówki.

– Kocham twojego dziadka! – wrzasnęła Beryl do ucha Maddie. – Też bym takiego chciała! – Ja także. – Fajnie, że dał ci na urodziny silent superba!

– Mimo tej nazwy wcale nie jest cichy!\* – odkrzyknęła Maddie przez ramię. – Już kiedy go dostałam, nie był nowy, a teraz ma pięć lat. Musiałam w tym roku wyremontować silnik.

– Dziadek nie mógł ci tego zrobić?

– On w ogóle by mi go nie dał, gdybym najpierw sama nie rozebrała silnika. Musiałam zrobić to sama albo nici z prezentu.

– I tak go kocham!

Pruły zielonymi traktami Highdown Rise, podskakując na koleinach wyżłobionych przez traktor tak, że niemal odbijały się od murków, wpadając w grzęzawiska, między pokrzywy i owce. Pamiętam, jak to było. Co chwilę zza zakrętu albo z wierzchołka garbu ukazywał się widok na zielone, łyse pasmo Pennin, rozciągające się daleko ku zachodowi, lub na fabryczne kominy Manchesteru, bazgrzące po niebie czarnym dymem.

– I jeszcze zdobędziesz zawód! – krzyczała Beryl.

---

\* *Silent* (ang.) – cichy.

– Co zdobędę?  
– Zawód!  
– Naprawa silników?  
– To jest zawód. Lepszy niż nabijanie czółenek w przędzalni.

– Ale za nabijanie czółenek ci płacą. Ja nie dostaję ani pensa.

Na drodze przed nimi pojawiły się dziury wypełnione deszczówką. Wyglądało to jak miniaturowy pejzaż szkockich highlandzkich jezior. Maddie znacznie zwolniła i w końcu zatrzymała motor. Spuściła nogi na twardą ziemię; ze spódnicy wciąż podciągniętą wyżej kolan czuła całym ciałem znajomy, niezawodny pomruk superba.

– Kto by zatrudnił dziewczynę do naprawy silników? Babcia chce, żebym się nauczyła pisać na maszynie. Przynajmniej się na tym zarabia.

Musiały zsiąść z motocykla i prowadzić go dalej porytą rowami drogą. Po sforsowaniu kolejnego podejścia dotarły do farmerskiej bramki na granicy pól. Maddie oparła motor o kamienny murek i zabrały się do jedzenia kanapek. Popatrzyły na swoje ubłocone nogi i parsknęły śmiechem.

– Co by powiedział twój tata?! – wykrzyknęła Maddie.

– A twoja babcia?

– Ona do tego przywykła.

Maddie mówiła, że Beryl nazywała piknik „wyżerką”. Zabrała solidne pajdy razowego chleba, który jej ciotka piekła w każdą środę dla trzech rodzin, oraz wielkie jak jabłka marynowane cebule. Maddie miała kanapki z żytniego chleba z piekarni w Reddyke, gdzie babcia wysyłała ją w każdy piątek. Marynowane cebule uniemożliwiły dziewczętom rozmowę, bo chrupanie tak głośno rozbrzmiewało im w uszach,

## PIĘKNA POWIEŚĆ O ZAGROŻENIU, DETERMINACJI I PRZETRWANIU.

11 października 1943 roku brytyjski samolot szpiegowski rozbija się w okupowanej przez nazistowskie Niemcy Francji. Pilotka i pasażerka to serdeczne przyjaciółki. Jedna z nich ma możliwość przetrwania, druga odpada z gry, zanim ta zdąży się na dobre rozpocząć.

Kiedy „Verity” wpada w ręce gestapo, jest pewna, że nie ma żadnych szans. Jako tajna agentka, pojmana na terytorium wroga, przeżywa najgorszy koszmar szpiega. Śledczy dają jej prosty wybór: ujawnienie misji albo makabryczna egzekucja.

Misternie snując swoje zeznanie, Verity wspomina własną przeszłość. Opowiada, jak zaprzyjaźniła się z pilotką Maddie, dlaczego ją porzuciła w kadłubie rozbitego samolotu. Na każdym skrawku papieru toczy walkę o życie, mierząc się ze swoimi poglądami na odwagę, porażkę i desperacką nadzieję na powrót do kraju. Czy wystarczy przehandlować wrogowi sekrety, żeby uratować życie?

FILIOTEKA.PL

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA  
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

**FILIA**

**cena 49,90 zł**

ISBN 978-83-8280-824-7



9 788382 808247